

Feliks Fornalczyk

Dramat skameralizowany

Eugeniusz Pauksta wydał w „Wydawnictwie Poznańskim” swoją nową powieść, którą zatytułował „Spowiedź Lucjana Skobiela”. Przynajmniej z trzech względów zasługuje ona na szczególną uwagę.

Po pierwsze autor zastosował tu — po raz pierwszy w swojej długiej działalności pisarskiej — inny sposób konstrukcji. Odstąpił od typu powieści fabularnej, opisał, zastosował narrację niefabularną, składającą się z luźno związanych z sobą obrazów. Nie ma więc w „Spowiedzi Lucjana Skobiela” — tu — jednego wymiaru postaci, które autor prowadzi przez różne zdarzenia. Jest tu właściwie jeden tylko główny bohater, człowiek stary, samotny, ów Lucjan Skobiel, który przeżył w swoim życiu wiele i nie oczekuje już niczego od życia. W odróżnieniu od swoich poprzedników powieści, autor nie każe tu bohaterowi jeździć, polować, uczestniczyć w awanturach itp. Bohater nowej powieści Eugeniusza Pauksty jest potraktowany statycznie, jego ciało pozostaje w bezruchu, można go sobie wyobrazić, jak siedzi w fotelu, zamyślony, uruchamia mechanizm pamięci, której sekrety znane są wyłącznie autorowi książki, i on — w zastępstwie bohatera — przekazuje wszystkie jego myśli, wspomnienia, całą wewnętrzną opowieść minionego życia Lucjana Skobiela. Bohater nie uczestniczy fizycznie w powieści, jego udział został tu wykorzystany od strony psychicznej, uczuciowej i intelektualnej. Oto cała nowość najświeższej książki Eugeniusza Pauksty, która nie jest jednak powieścią psychologiczną i nie jest również — jak to dawniej bywało u Pauksty — romansem awanturczym, przygodowym, epickim. To powieść introspekcyjna, w której autor ograniczył swoją rolę do czynności rejestratora wspomnień — owej spowiedzi — jedynego, głównego bohatera. Pauksta nie chce tu niczego komentować, chce być wyłącznie przekazywaczem, stosuje metodę beznamietnego rejestru autentycznych myśli wybranego spośród wielu jednego człowieka.

I względem drugiego. Eugeniusz Pauksta zna upodobania czytelników, zna rolę autentyczną, i zdaje sobie sprawę z zawodowej atrakcyjności tego rodzaju literatury. Toteż cała atrakcyjność jego powieści polega tu na wyborze osoby, wyborze dramatu tego człowieka. Lucjan Skobiel nie jest więc pierwszym lepszym człowiekiem z ulicy. Lucjan Skobiel to człowiek, którego cały dramat życiowy wynikał stąd, że kiedyś — na początku swego życia — dokonał fałszywego wyboru. Ów niedobry, fałszywy wybór miał swoje źródła w bardzo swoistej biografii — pilsudczyk, oficer „grodzińskiego pułku”, wyrosły w powstańczej tradycji szlacheckiego domu przed wojną członek OZON-u — oraz w równie swoistym życiu rodzinnym — kobiecie, swojski donżuan, który w dość późnym wieku zakochuje się bez pamięci w dziewczynie z rodziny niemieckich kupców. Lucjan żeni się z Lucyną, przychodzi na świat córka Gosia, wszystko układa się w tej rodzinie dobrze do czasu wybuchu wojny. Wówczas Lucjan idzie do wojny polskiego, dostaje się do niewoli — Lucyna zostaje sama z córką, a kiedy wracają do miasta Niemcy, przypomina sobie swoje pochodzenie i staje się Niemką. Pracuje w niemieckiej instytucji, romansuje z

Na jednym polu zboże rośnie nby gaj, a tu obok, w identycznych warunkach, bynajmniej urodzaju nie obiecuje. Różnice i kontrasty w poziomie produkcji rolnej występują między poszczególnymi województwami, powiatami, wsiami a nawet sąsiadującymi z sobą o miedzę — gospodarstwami. Weźmy dla przykładu powiat Gostyń. Porównanie osiągnięć produkcyjnych gostyńskich rolników ze średnimi wskaźnikami krajowymi wskazuje, że w powiecie tym już obecnie realizuje się zadania nakreślone dla naszego rolnictwa na lata... osiemdziesiąte. 26 kwintali czterech zół z hektara w trudnym roku — 1962, 70 sztuk bydła, 120 sztuk trzody chlewnej na każde 100 hektarów — to wyniki, jakie wykazują tylko kraje o wysokiej kulturze rolnej.

A przecież w powiecie tym brak zupełnie gleby I i II klasy. Prawie połowa gruntów czeka jeszcze na drenowanie. Kłopoty z nawozami, wapnem itp. nie mniejsze niż gdzie indziej. Zatem o sukcesach gostyńskich rolników nie zdecydowały jakieś specjalnie dobre warunki. Sprawia to tradycja dobrej roboty, umiejętności i doświadczenie w uprawie i hodowli.

Nie trzeba chyba dowodzić co oznacza 10 kwintali zół z hektara więcej, i że gdyby w pozostałych rejonach kraju plony wzrosły po 10 q z hektara... Posłużmy się statystycznymi porównaniami a dostrzeżemy, że to „gdyby” układa się w wizję tysięcy wagonów wypełnionych zbożem, mięsem, nabiałem.

Przykład ten pokazuje, jak wielkie rezerwy tkwią jeszcze w naszym rolnictwie. Wszak to nie owe wzory z Gostynia czy Krotoszyńskiego decydują dzisiaj o wysokości naszej produkcji rolnej. Znakomitą większość stanowią ciągle jeszcze gospodarstwa przeciętne, nie w pełni produkcyjne, z olbrzymim kapitałem możliwości. W nich właśnie spotykamy się na każdym kroku z niedocenianiem elementarnych wynogów nowoczesności. Tam występują najpowszejsze błędy uprawowe, pielęgnacyjne, żywieniowe — z zakresu abecadła agrotechniki i ekonomiki. One to składają się na wielocyfrowy rachunek strat ponoszonych codziennie, w skali masowej, a także świadczą, iż wysiłki państwa zdążające do podnoszenia kultury rolnej nie dają jeszcze dostatecznych rezultatów. Stało się oczywiste, że w łańcuchu poczyniń i bodźców dźwigających produkcję rolną na wyższy poziom brak jakichś ogniw.

Feliks Bilos

AGROMINIMUM PROGRAM Z PRZYSZŁOŚCIĄ

Powstała więc pilna potrzeba ustalenia podstawowych obowiązków, podstawowych zasad gospodarowania, jako czynnika budzącego ambicję rolników oraz wskazującego sprecyzowany cel dążeń, do podnoszenia poziomu gospodarki rolnej. Zasady te, wysunięte na II Krajowym Zjeździe Kółek Rolniczych określone zostały terminem „agrominimum”. Pojęcie to obejmuje zespół niezbędnych zabiegów, które muszą być stosowane w każdej wsi, w każdym gospodarstwie, dla uzyskania dobrych wyników produkcyjnych.

Na czym polega istotna nowość agrominimum? Wydaje się, że główną zaletą tej zasady jest to, iż stwarza ona nowy instrument zarówno społecznego, jak i ekonomicznego oddziaływania na gospodarke rolną w całości i na każdej zagrodzie chłopską oddzielnie. Realizacja agrominimum obliczona jest bowiem na bezpośredni masowy udział milionów rolników w przewidywanym zaoferowaniu w uprawie i hodowli, a także w dotychczasowych formach współzawodnictwa wsi. Zagospodarowanie wspólnot gromadzkich, instalacja i eksploatacja urządzeń melioracyjnych, walka z chwastami, wymiana materiału siewnego, budowa silosów, racjonalne karmienie inwentarza, gospodarka na łąkach i pastwiskach — to zadania, które wymagać będą zespołowego wysiłku całej wsi. W tym wspólnym działaniu rodzić się będą niewątpliwie nowe, oparte na zespołowej pracy, stosunki społeczne i nawyki myślowe.

Szczególna rola w realizacji zasad agrominimum przypadnie kółkom rolniczym, które uzyskały w ten sposób nowy środek realnego i zrozumiałego dla społeczności wiejskiej oddziaływania na produkcję rolną. Natomiast rady gromadzkie zyskują pomoc, którą połączą plan gromadzki — zawieszony dotychczas w próżni — ze wsią, wiążąc go ściśle z bezpośrednimi wytwórcami. Właśnie od tych ogniw władzy państwowej i organizacji chłopskiej zależeć będzie

dzie w dużej mierze, czy ta nowa szansa naszego rolnictwa będzie wykorzystana w sposób właściwy.

A co będzie z tymi, którzy pomni na stare przysłowie: „Wolność Tomku w swoim domu” nie zechcą podporządkować się zaleceniom agrominimum? Zważywszy, że chodzi o interes społeczny — przewidziane są wobec nich określone formy ekonomicznego a nawet administracyjnego oddziaływania, co podkreśla wyrażenie ostatnia uchwała Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów. Na czoło wysuwa się tu zasada, że pomoc państwa kierowana będzie przede wszystkim do tych gospodarstw, które wykazują się pełną troską o wykonywanie wszystkich zaleceń agro i zootechnicznych. Państwu nie może być bowiem obojętne, jak pomoc ta będzie wykorzystana i czy przyniesie ona pożądane efekty. Wchodzą tu w grę przydziały materiałów budowlanych, pasz, nasion, nawozów itp. Również udzielanie ulg uzależnione będzie od tego, czy dany rolnik uczynił wszystko, czego wymagają zasady dobrego gospodarowania. Związane z tym będą także decyzje dotyczące melioracji, elektryfikacji, budowy dróg, zaopatrzenia w wodę i innych inwestycji wiejskich. Oczywiście, mowa tu o stopniowym, w pełni przemyślanym wprowadzaniu tych zasad w życie.

Można już dziś wyrazić przekonanie, że rolnicy nie każą sobie zbyt długo przekonywać, że dobre gospodarowanie jest rzeczą dobrą, a złą. Przekonają ich o tym same fakty i wzrastające dochody ich gospodarstw. Wówczas sami sięgają po nowe, coraz doskonalsze formy uprawy i hodowli. Dlatego też można powiedzieć, że agrominimum to program z przyszłością, który w miarę zachodzących na wsi przemian obejmować będzie coraz to szersze treści znaczeniowe. Wszak od najprostszych zabiegów do rolnictwa prawdziwie nowoczesnego — droga jeszcze daleka.

Młodzi śpiewacy wielka sztuka

PRASA NRD O WYSTĘPACH POZNAŃSKIEGO CHÓRU CHŁOPIĘCEGO

„Neues Deutschland” z dnia 9. 10. 1963 w recenzji zatytułowanej „Owacje dla polskich śpiewających chłopców” pisze między innymi:

„Jest rzeczą ogólnie znaną, z jaką starannością wyszukuje się, ochrania i pielęgnuje dzieła sztuki w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Zbyt mało wie się dotychczas poza Polską, jakie bogate skarby dawnej polskiej muzyki — zwłaszcza z XV i XVI wieku — zostały przez polskich muzykologów w minionych latach ocalone od zapomnienia i przez wzorowe publikacje przywrócone praktyce muzycznej. Z tym większą przyjemnością powitaliśmy fakt, że chór chłopięcy z Poznania pod swym wysoce utalentowanym dyrygentem Jerzym Kurczewskim, poświęcił pierwszą część swego poranku w Operze Komicznej wyłącznie polskiej sztuce chóralnej. Zabrzmiły dzieła z XV wieku Mikołaja z Szamotuł, kompozytora królewskiego dworu z Krakowa i Mikołaja Gomółki, którego dzieła zarówno melodycznym jak i brzmieniowym pięknem, są równorzędne z dziełami innych mistrzów europejskich tego okresu. Następnie zabrzmiała anonimowa pieśń Rokoszan Zebrzydowskiego z XVII wieku o charakterze rytmicznym, jak i późniejszy, pełen dźwięku „Magnificat” Zielińskiego (1550—1615) na trzy chóry, napisany w bogatym dźwiękowym stylu fresco, tak charakterystycznym dla szkoły weneckiej, narzucającej w tym czasie swój charakter całej Europie.

Około 80 chłopców z Poznania wykonało te dzieła ze szczególnym odczuciem stylu, jasno i z wyrównanym brzmieniem zespołowym, dokładnie zróżnicowanym w prowadzeniu linii melodycznej. Pokazali przy tym pełne podziwu umiejętności. Szczególny podziw wzbudziło wykonanie nowej i najnowszej muzyki polskiej, Karola Szymanowskiego, Andrzeja Koszewskiego i Krzysztofa Pendereckiego.

Widoczna swoboda, z jaką poznający chłopcy prezentowali bardzo skomplikowane utwory, budziła nieustannie zdumienie. A przy tym ich śpiew nie był w żadnym przypadku wymuszony. Szczere i świeże twarze chłopców zdradzały w każdym łakcie zarówno powagę, jak i prawdziwą przyjemność muzykowania. (...) W drugiej części programu pokazali młodzi śpiewacy swe umiejętności w dziełach Orlando di Lasso, Lorenza Lemblina, Hansa Leo Hasslera, Bacha, jak i w pełnej powabie „Nocej defiladzie” Glinki, w pełnym tempa „Rondo” Ravela i w pieśniach Beniamina Brittena oraz Beli Bartoka, posiadających zabarwienie folklorystyczne. Słuchasz nagradzali każdy utwór entuzjastycznymi oklaskami. Uwolnili oni chór i jego dyrygenta dopiero po kilku bisach, między którymi szczególnie burzliwe okla-

ski wywołały naturalnie walc „Nad pięknym, modrą Dunajem” Jana Straussa, „Chór strzelców” z „Wolnego strzelca” i „Lipa” Schuberta.

A oto wyjątek z recenzji zamieszczonej w „Der Morgen” dnia 9. 10. 1963:

„Około 80-osobowa grupa młodych śpiewaków odznacza się wysoką dyscypliną muzyczną, świeżym i pełnym brzmieniem chóralnym oraz silnie zaznaczonym poczuciem rytmu i dynamiki. Jerzy Kurczewski muzykuje ze swym chórem jak na całkowicie niezawodnym instrumencie. Czuje się wyraźnie, że bez żadnego wysiłku stoją mu do dyspozycji wszystkie rejestry chóru, od ledwie dosłyszalnego i delikatnego pianissimo, aż do pełnego siły i jasnego fortissimo”.

„Neue Zeit” z dnia 7. 10. 1963 stwierdza między innymi:

„Do powszechnie znanych wybitnych zespołów europejskich, należy od lat Chór Chłopców z Poznania, którego koncert w Operze Komicznej był szalonym oklaskami przyjętym wydarzeniem artystycznym „Berliner Festtage” 1963”.

„National Zeitung” z 7. 10. 1963

„Wczorajszy występ Poznańskiego Chóru Chłopców w Operze Komicznej został przyjęty burzliwymi, niekończącymi się oklaskami. Ginąc niemal za wielkimi bukietami kwiatów, z uśmiechem zakłopotania musieli uroczy chłopcy bezustannie bisować. Dopiero 40 minut po zakończeniu koncertu pierwsi słuchacze niechętnie opuścili salę”.

W obszernej recenzji pt. „Młodzi śpiewacy — wielka sztuka” — „Berliner Zeitung” z dnia 8. 10. 1963 pisze:

„Jesteśmy przyzwyczajeni do wysokiego poziomu i wielkich, starych tradycji tego rodzaju chórów dzięki liczny koncertom i nagraniom naszych dwu światowej sławy zespołów: lipskiego i drezdeńskiego. To, co słyszeliśmy w niedzielne przedpołudnie w Operze Komicznej w wykonaniu Chóru Chłopców z Poznania pod dyrykcją Jerzego Kurczewskiego można bez zastrzeżeń mierzyć tymi samymi kryteriami”.

„Miękkie, jednolite i wyważone brzmienie, precyzyjna i dynamiczna reakcja chóru oraz lekkie parlando — są atrybutami, za które należy śpiewaków z Poznania pochwalić. Jak gruntownemu szkoleniu poddani są śpiewacy zespołu, można było wyraźnie dostrzec podczas wykonania dwóch współczesnych kompozycji, z których szczególnie Siabot Mater urodzonego w 1933 kompozytora Krzysztofa Pendereckiego, jest dla każdego chóru próba doskonałości, gdyż wymaga nie tylko najwyższej koncentracji wszystkich wykonawców, lecz i absolutnej

Teatr nasz nie ma wielkiego współczesnego repertuaru politycznego, nie ma sztuk w pełni zaangażowanych, społecznie i żarliwych ideowo. A dopóki mieć ich nie będzie, musi szukać. Jest to dla niego sprawa zasadnicza, łatwo bowiem można zrobić dobre przedstawienie, zgodne z tekstem i tzw. klimatem epoki, trudno o spektakl głęboko ideowy i przekonujący teatralnie zarazem. Na to potrzeba Brechta. Takim wymogom w naszej dramaturgii mógł sprostać jedynie chyba Leon Kruczkowski, ale jego sztuki przeszły już przez wszystkie polskie sceny. Dlatego Marek Okopiński sięgnął po adaptację najbardziej chyba politycznej powieści polskiej XX wieku po „Kordiana i Chama”.

Powieść napisana została w 1932 r., jej adaptacja sceniczna w trzy lata później, ale na wiele lat przedtem, nim Kruczkowski został dramaturgiem. Ostatnia, nieznaczna zresztą modyfikacja tej adaptacji dokonana została przez autora z myślą o scenie amatorskiej. W sposób jasny, publicystyczny postawiła ona problem klasowy w powstaniu listopadowym. Był to dialog pisarza komunisty ze szlacheckim romantyzmem. Odpowiedź na to, czemu Polska szlachecka nie mogła stać się ojczyzną dla wszystkich.

Zdawałoby się, że dobry teatr zawodowy, podejmując spektakl przeznaczony dla sceny amatorskiej, ma łatwe zadanie. Myśl przewodnią utworu jest jasna, przejrzysta dla każdego, pojęcia sceniczne określone są zdecydowanie, nie mają żadnych podtekstów ani psychologicznych niespodzianek. A jednak teatr znalazł się w trudnej sytuacji. Jak ożywić dzieło, ciekawe, będące materiałem na dramaty w duchu wielkiej inscenizacji romantycznej, ale nie scenicznej — zdecydowanie epickie, trudne w teatralnej realizacji. Przedstawienie ma charakter monumentalny, potężny — od dawna już nie operowano na poznańskiej scenie tak wielką liczbą aktorów i statystów. Od dawna już nie widzieliśmy scen zbiorowych zbudowanych z takim rozmachem. Z całą jasnością i logiką zabrzmiły też społeczne treści spektaklu. A jednak to nie jest teatr taki, jaki mielibyśmy okazję poznać chociażby przez „Ifigenię”.

Marek Okopiński chciał dać czysto epickie przedstawienie. Wprowadził postać narratora-człowieka współczesnego, który ocenia i komentuje wydarzenia sprzed stu lat. Z górą lat. Zdzisław Wardejn jest świetnym narratorem, ale tekst, który przekazuje nie odpowiada tej właśnie wyznaczonej przez teatr roli. Nie posuwa akcji naprzód, wręcz przeciwnie — zwalnia ją.

W trafianiu dźwięków i nieomylnego poczucia intonacji. Co może zespół technicznie z siebie dać, pokazał rytmicznie interesujący utwór Andrzeja Koszewskiego. Obydwa dzieła, które przez wysoce niekonwencjonalne (szczególnie pod względem deklama-

Olgierd Błazewicz

Kordian i Chama

Częstokroć aktorzy czekają na scenie w nieruchomych pozach zanim narrator skończy swój tekst przeważnie opisowy, poetycki, zacierpnity z powieści, nie z dramatu. „Kordian i Chama” w ogóle jest za mało sceniczny, aby można go było jeszcze bardziej „odteatralnić”. Narrator jest na pewno potrzebny w pierwszej znakomitej teatralnie scenie przedstawiania Kordiana i Chama. Spektakl ma dwie wielkie sceny, pierwszą i ostatnią ze wspaniałą pointą dramatyczną. Ale pomiędzy nimi akcja posuwa się naprzód w tonie powieściowej narracji — bez point dramatycznych, linii wznowienia się i opadania zainteresowania widowni. Niektóre sceny są za długie — zbyt marlowe teatralnie. Inne utrzymane są w zgoła operowej incenizacji (rekruci na postoj). Wtedy przedstawienie staje się tylko widowiskiem, barwnym, ciekawym malarsko, ale statycznym.

W spektaklu bierze udział dwudziestu pięciu aktorów w blisko pięćdziesięciu rolach. Zwalnia mnie to chyba od jakiegś szczegółowej oceny aktorstwa. Z pewnością ciekawym, chwilami świetnym, chociaż nie zawsze potrzebnym, narratorem jest Zdzisław Wardejn. Inteligentny, bardzo nowoczesny w typie aktorstwa. Z dobrej strony pokazali się też w tym spektaklu: Jarosław Strzemiński jako Kazimierz Deczyński, Leonard Pietraszak w roli Felusia Czarneckiego oraz Tadeusz Gocna i Józef Fryzlewicz w swych licznych wcieleniach scenicznych. Z tonu spektaklu wypadł właściwie tylko Marian Miński, grający zgoła operetkową, szlachecką, w duchu jakiegś dziewiętnastowiecznej komedijki, postać ojca Czarneckiego.

Scenografia Janusza Warpechowskiego niewątpliwie dobra i ciekawa plastycznie-malarsko, ma chyba ten minus że nie pochodzi z ducha utworu. Czuje się tu pewien rozdział między realistyczną, chłopską problematyką spektaklu, a „przeistetyzowanymi” malarskimi prospektami sceny.

TEATR POLSKI W POZNANIU: „Kordian i Chama”, sceny dramatyczne Leona Kruczkowskiego, reżyseria: Marka Okopińskiego, scenografia: Janusza Warpechowskiego, muzyka: Antoniego Szalińskiego. Kierownictwo literackie: Stanisław Hebanowski. Premiera 26. X. 63.

forskim) elementy, odświeżają tradycyjne potraktowanie chóru, (...) stoją na granicy możliwości wykonawczych dla tego rodzaju zespołów. Tym lepiej świadczy o polskich śpiewających chłopcach, że zostało to tak świetnie wykonane”.

Odstrzał mitu o myśliwych

Myśliwy — majętny człowiek, zabawiający się strzelbą, w ciągłej pogoni za zwierzyną polną i leśną. Patrz — krupnik myśliwski. Patrz także — „Pan Tadeusz” A. Mickiewicza, scena z polowania. (Z wiersza ludu polskiego.)

PRZECIĘTNY WIEK

Ta żartobliwa notka encyklopedyczna niewiele odbiega od rzeczywistych wyobrażeń ogółu o myśliwych. A wyobrażenia te są jak najbardziej fałszywe. Co to zatem za człowiek „ugania” się po polach i lasach?

Bardzo różny, od 20 do 60 lat. Wszystkich łączy jedna wspólna cecha: umiłowanie przyrody. Tylko wielki miłośnik przyrody — turysta, wędkarz, myśliwy, zdobędzie się na długie wędrówki w nie pogodę po polach i lasach, tylko on potrafi tam godzinami podpatrywać życie roślin, zwierząt, ryb. Dziś rogiacz nie wyszedł na strzał? Nie szkodzi, było przecież bardzo miło...

Poznański okręg liczy 4200 członków Polskiego Związku Łowieckiego, zrzeszonych w 192 kołach. W samym Poznaniu jest około 1000 myśliwych. Wielkopolska jest drugim, po Warszawskim, ośrodkiem sportu łowieckiego.

SKŁAD SOCJALNY

Nasz myśliwy to przeważnie chłop lub robotnik. 63 procent członków PZŁ to świąt pracy. Najwięcej oczywiście chłopów, oni żyją najbliższe terenów łowieckich, stąd te zainteresowania.

Dawna elitarność tego sportu wynikała z wysokich kosztów posiadania terenów łowieckich. Były one przeważnie prywatne, na pańskich posiadłościach. Stąd i charakterystyczny skład dawnego PZŁ. Po wojnie elitarność ta pozostała jeszcze w świadomości starszych myśliwych. Próbowano ją podtrzymać wysokimi sumami wpisowego (ustalanego przez koła), by odciąć się od napływu nowych członków. Dziś należy to do przeszłości. Jedynym warunkiem członkowską jest dziś wysoki poziom moralny (tak!) myśliwego.

Strzelba to jednak broń, nie każdy może więc nią dysponować. A zanim myśliwy zacznie strzelać, musi wykazać się pełną znajomością swych obowiązków — i praw, jakie ma zwierzyna. Bo myśliwy to przede wszystkim — hodowca.

ZADANIA PZŁ

Hodowla i odstrzał, odstrzał i hodowla. Hodują koła łowieckie, na swój wyłączny koszt, a także sam PZŁ w swoich ośrodkach. W Wielkopolsce znajdują się trzy takie ośrodki: w Kamieniu Biernatkich (pow. Kalisz), w Cempiniu (pow. Kościan) oraz w Pławach (pow. Środa). Ten ostatni utrzymywany jest ze środków własnych Wojewódzkiej Rady Łowieckiej.

Na czym polega hodowla? Są to rezerwy poddane specjalnej opiece i obserwacji. Selekcjonuje się szlaki hodowlane, najbardziej dobrane i wytrzymałe, pomaga się w utrzymywaniu potomstwa, zapobiega chorobom, wymienia materiał hodowlany dla innych rejonów, by odświeżyć krew itp. Ponadto prowadzone są badania naukowe.

Zajmuje się tym jedyna w kraju Stacja Naukowo-Badawcza PZŁ w Cempiniu. Przedmiotem jej aktualnych badań są: zając, sarna oraz bażant. Kierunkiem prac Stacji jest obecnie stworzenie metody regulowania populacji zwierzęcej według potrzeb człowieka. Wkrótce będzie można przewidywać przyrost naturalny zwierzyny, a później go regulować, dzięki pracom naukowców ze Stacji w Cempiniu.

Odstrzał, to nie tylko przyjemność, ale ważny zabieg hodowlany i działalność gospodarcza. W jednym tylko powiecie szamotulskim wypłacono w ciągu roku — za szkody czynione przez zwierzynę — 30 mln. zł. Dlatego trzeba strzelać. Ale ile? do czego strzelać? W planach hodowlanych kół są plany polowań i odstrzału selekcyjnego osobników starych i zwyrodniałych.

Cena łowiecwa, to jedyna trudność, ograniczająca liczbę członków PZŁ. Choć nie taka znów duża, zważywszy wszystkie koszty. Dla nowicjusza wpisowe i pierwsze składki PZŁ wynoszą 270 zł rocznie. W następnych latach myśliwy płaci około 170 zł.

Sredniej jakości dubeltówka produkcji NRD kosztuje 2500—4000 zł, można ją nabywać na raty. To oczywiście na początek. Myśliwy, jak i wędkarz — lubuje się we wszelakim sprzęcie, na każdą okazję, rosną więc koszty wraz z apetytem. Inne koszty? Cena jednego „pudła” — około 3 zł.

EFEKTY GOSPODARCZE

Dla myśliwego osobiste są niewielkie. „Dlatego też można dziś o myślistwie mówić jako o sporcie. Jeszcze kilka lat temu w szeregach PZŁ nieprzyjemną atmosferę słyszała pogoń... za mięsem. Zarządzano temu skutecznie — między innymi dzięki inicjatywie poznańskich myśliwych — zapewniając autorom celnym strzałów ekwiwalenty w postaci części ubitej zwierzyny, która w całości stanowi dziś własność koła.

Hodowla i odstrzał przynoszą spore efekty ogólnogospodarcze. W naszych ośrodkach odławia się np. żywe zające, sprzedając je — dla odświeżenia krwi — za granicę, do NRF, Włoch, Francji. Jeden żywy zając jest tam wart więcej dewiz niż tona węgla. Co roku sprzedajemy około 1000 sztuk. Rewanżując się za dewizy, państwo przekazuje kołom łowieckim 500—550 zł za każdego żywego zająca. Zając bity kosztuje do 70 zł za sztukę. Wszystkie te pieniądze PZŁ przeznacza na hodowlę.

Srednio rocznie wielkopolscy myśliwi dostarczają 4500—5000 sztuk dzików, tyle samo jeleni, 100.000 zające (stanowi to jedną czwartą rocznego odstrzału szaraka w całym kraju), 30.000—40.000 kaczek i tyleż kuropat. Większość tej zwierzyny kierowana jest na rynki światowe.

WNIOSKI

Wyciągnijcie sami. Skłonił Was chyba do prychylniejszego spojrzenia na myśliwych. To nie ci sami ludzie, co stworzyli receptę na bigos myśliwski i „krupnik”. Te tradycje już dawno upadły. Tępią je zresztą sami myśliwi, bo alkohol, jest niebezpieczny nie tylko na drogach. Jeśli dziś ujrzyście człowieka z fuzją (właśnie rozpoczął się sezon polowań) pamiętajcie, że idzie w pole na zasłużony odpoczynek. On się sporo napracował zanim się wybrał na łowy. Ale wierzyć nie zawsze mu musicie. O sukcesach buja, jak każdy wędkarz...

Dokończenie str. 1

niemieckim majorem, wychowuje dziecko Lucjana w duchu niemieckim... Lucjan jednak ucieka z niewoli i wraca do domu, który przez czas nieobecności Lucjana zmienił się — wraca do domu, który przestał być jego domem. A zatem powtarza się tu jeszcze jedno wydanie konfliktu małżeństw mieszanych, konfliktu narodowego, podejmowanego nieraz w literaturze polskiej — przypomnijmy choćby powieść Leszka Proroka „Wyspiarsze” — konfliktu przeto nieustannie odświeżanego w pamięci społecznej zachodniego krańca Polski.

I wreszcie wzgląd trzeci, upoważniający do zwrócenia szczególnej uwagi na nową powieść Eugeniusza Pauksztę. Oto powieść ta dotyczy Poznania — większość przeszłego życia Lucjana Skobiela rozgrywa się w scenarii tego miasta. Poznań występuje w tej książce w trzech okresach swoich najnowszych dziejów — w dwudziestolecu międzywojennym, w latach ostatniej wojny oraz w okresie powojennym. W takich wypadkach pisarz musi się liczyć z dotrzymaniem wierności historii, musi być przygotowany na to, że bezpośredni świadkowie rzeczywistych wydarzeń mogą być zgorszeni charakterystyką miasta i jego mieszkańców, mogą mieć autorowi za złe bezpośrednio wypowiedziane opinie — i mogą mieć własne wyobrażenia prawdy dziejowej swojego miasta. Pisarz — już samym wyborem problemu i miasta — daje do zrozumienia, iż jest przygotowany na tego rodzaju zarzuty. Przedstawia bowiem sprawy, które nie mogą zostawić ludzi obojętnymi. Koncepcja tej powieści — określona między innymi tytułem: „Spowiedź Lucjana Skobiela” — zakłada szczerze wyznanie wszystkich najskrytszych meandrów postępowania bohatera w przeszłości, postępowania, którego on sam nie ocenia — którego nie chce oceniać sam, zdając się na ocenę innych ludzi, czytelników, słuchaczy jego wyznań. Jest więc w tego rodzaju postępowaniu czynnik świadomie założonej pokory, w moim przekonaniu zresztą absolutnie niepotrzebnej w powieści.

„Spowiedź Lucjana Skobiela”, nie jest spowiedzią w sensie katolickim. Są to bowiem wyznania człowieka,

Dramat skameralizowany

który zwierza się przed czytelnikiem z problemem całego swojego życia, z którymi nie umiał sobie poradzić. Nie czyni tego bynajmniej z potrzeby jakiejś ekspiacji czy żalu, lecz z potrzeby — bodaj — dydaktycznej.

Jest w tym wyznaniu starego człowieka coś, co zawiera myśl głębszą, nie wyrażoną wprost. Oto człowiek, który swoją paseistyczną postawą narażał się na bolesne przeżycia. Oto człowiek, który chcąc wpływać na zmianę swojego losu ponosił klęski. Sprawiła to najczęściej tradycje — pojmowana przez Lucjana rola męża, ojca, patrioty... Sens filozoficzny tej powieści — nie dopowiedziany, nie skomentowany — zawiera się w wymowie całej książki, zwracającej uwagę dzisiejszemu człowiekowi na problemy, które wymagałyby dziś innego postępowania. Jakiego? Tego Eugeniusz Pauksza nie mówi. W tym tkwi także nie ujawniający się w pierwszej chwili walor innego ujmowania zjawisk życia przez Pauksztę. Odpowiadałoby to wymogowi, stawianemu współczesnej literaturze przez krytykę, a sformułowane ostatnio w Poznaniu przez Jerzego Ziomek w jego zbiorze esejów „Wizerunki polskich pisarzy katolickich”.

I jeszcze jedną konsekwencję paseistycznej postawy bohatera należałoby dostrzec. Eugeniusz Pauksza przedstawia kilka grup ludzi, reprezentujących różne postawy społeczne, czy — może lepiej — różne poglądy polityczne. Lucjan Skobiela należy do grupy polegionowej, która w ostatnich latach dwudziestolecia międzywojennego była zorganizowana w OZON-ie, Obozie Zjednoczenia Narodowego. Ale Pauksza pokazuje także w swojej powieści — anonimowo — przeciwne ugrupowanie, poznańską endecję. Autor i w tym wypadku zachowuje obiektywizm postronnego obserwatora. Ugrupowania te istnieją w jego powieści samoistnie. Losy Lucjana Skobiela biega swoim torem, jak-

by poza rzeczywistością polityczną i społeczną. Lucjan nie wchodzi w sytuację konfliktową z nimi. Autor nie doprowadza do konfliktów między owymi skrajnymi ugrupowaniami politycznymi. Paseizm postawy Lucjana przyjmuje te kwestie jako rzecz naturalną, gładką już i prostą. Przeciwności klasowe i polityczne społeczeństwa, w jakim żyje, za ledwie docierają do jego świadomości, nie ważą w jego życiu. Poza oczywiście konfliktom Lucjana-Lucjan, Niemka - Polak. W konsekwencji więc dramat Lucjana Skobiela jest dramatem skameralizowanym, jest jego sprawą osobistą, przesuniętą w obręb konfliktu narodowo-ideologicznego. Uważam tę okoliczność jako niewyzyskaną przez Pauksztę szansę pisarską.

Dramat postaw, dramat pomyłek politycznego wyboru, cała związana z tym atmosfera miasta, która ukształtowała przecież jednak jedyny i niepowtarzalny typ człowieka i stosunków międzyludzkich w Poznaniu, czekają więc ciągle — i trwałe — na swego kronikarza, na swój epos. Eugeniusz Pauksza swoją nową książką zbliżył się do tego tematu, ale jest to dopiero pierwszy rekonesans literacki w głąb złożonej i pasjonującej problematyki społeczno - politycznej Poznania ostatnich lat. Pauksza — co należy podkreślić — dokonał tej pierwszej próby na tym polu w formie ciekawej, po raz pierwszy u tego pisarza kosztującej smaku narracji lapidarnej, skondensowanej, biorącej przy tym za przedmiot wewnętrzne przeżycia jednego bohatera oraz istotną problematykę przekonań politycznych. Lecz potraktował swego Lucjana Skobiela nazbyt pasywnie i nieśmiało. Dlatego próba ta liczy się poważnie w dorobku pisarskim Eugeniusza Pauksztę, ale tematu nie wyczerpuje.

FELIKS FORNALCZYK

Eugeniusz Pauksza: „Spowiedź Lucjana Skobiela”. Powieść. Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1963, str. 186+2 nb.

Eugeniusz Pauksza

Z przekładów PIW-u

Dawno już nie spotykaliśmy niczego z literatury bułgarskiej. Tym miler, że otrzymujemy obecnie tak dobrą książkę, jak „Noc na bulwarach” Bogomila Rajnowa, zbiór cennych opowiadań związanych z przeżyciami autora we Francji, Szwajcarii i Holandii. Dobra charakterystyka środowisk i wnikiwość spojrzenia przy jednoczesnym głęboko humanistycznym stosunku do człowieka przysługują tekstom dalszych waleów.

Literaturę radziecką reprezentuje tym razem Borys Jampolski tomem „Trzy wiosny”. Jest to wsparcie o autobiografii obraz przeżyć 16-letniego chłopca w pierwszym okresie rewolucyjnym. Mnóstwo tu drobnych realiów, malunku ówczesnej obyczajowości, szerokiego tła wielkich wydarzeń ukazanych oczyma szarych ludzi w małych miasteczkach i osiedlach.

Günter W. Lorenz napisał monografię „Federico Garcia Lorca” (Przekład polski K. Radziwiłła i J. Zelzer),

będąca pierwszym właściwie, równie szerokim i wnikliwym wizerunkiem wybitnego poety i dramaturga, zamordowanego w 1936 roku i skazanego przez władców Hiszpanii na zapomnienie. Książka jest zresztą czymś więcej niż monografią, bo zawiera i szkice krytycznym analizującym twórczość wybitnego poety.

I jeszcze dwie pozycje niemieckiego kręgu językowego. W poetyckiej serii „celofanowej” otrzymaliśmy J. W. Goethego „Dywan Zachodu i

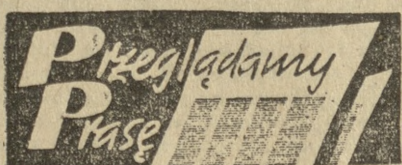
Z KSIĄŻKĄ NA TY

Wschodu”, czarujący zbiór, jak pisze w przedmowie Anna Mińska „pieśni o sercu człowieka”, których jakby inspirowała i właściwie współautorka była Marianna von Willemer, „Zulejka”, jak ją Goethe nazywał. Warto dodać, że jest to pierwszy, pełny przekład „Dywanu” na język polski. Drugą książkę, o jakiej wspominałem, jest wznowienie słynnej „Kraksy” Friedricha Dürrenmatta, jednego chyba z najcenniejszych opowiadań tego pisarza.

Jeśli zaś chodzi o popularność, to o to nowa pozycja Roberta Graves'a

— „Wyspy szaleństwa”. Tym razem jest to zbeletryzowana jak zawsze u tego autora, w sposób naprawdę fascynujący, opowieść o losach wyprawy czterech okrętów wysłanych w r. 1595 pod wodzą gen. Alwara de Mendana celem skolonizowania Wysp Salomona. W trakcie wyprawy ginie generał, a dowództwo przejmuje jego młoda żona Izabela Barreto. Książka wsparta jest o autentyczne fakty, o cytaty z oryginalnych sprawozdań, o nazwiska i szczegóły, które się wydarzyły naprawdę. A przy tym lekura jest pasjonująca, nie jest zaś winą autora, że prawda ukazywana przybiera nieraz cechy fantastyki.

Na zakończenie zaś miła wiadomość dla wielbicieli klasyki. Oto Arthur Sandauer w konsekwentnym realizowaniu serii przekładów greckich, przyswoił obecnie i opracował „Elektrydy” Eurypidesa. Znowu powstaje możliwość prześledzenia dróg rozwojowych pewnych mitów starożytności, porównując temat podjęty wskazywał przez Eurypidesa po Ajschylosie i Sofoklesie. Ejże, były to czasy, gdy nie tylko własną wizję, ale nawet sady i polemiki podejmowano w dziełach literackich, nie zaś współczesnymi, „proszymi” sposobami!



Ponad jedną trzecią 12-stronicowego w tym tygodniu wydania „Polityki” zajmują materiały poświęcone województwu koszalińskiemu. Jest to druga publikacja w cyklu przygotowanym na XX-lecie Polski Ludowej, a nazwanym „Polska siedemnaście”.

TARGI I HANDEL

Ten sam tygodnik drukuje wywiad z przewodniczącym sejmowej Komisji Handlu Wewnętrznego Bronisławem Waronim, który odpowiada m. in. na pytanie dotyczące kwestionowania roli Targów Krajowych w świetle istniejącej praktyki niedotrzymywania umów i eksponowania towarów dostarczanych na rynek w bardzo małych ilościach.

„Istotnie — stwierdza poseł B. Waron — handel nie otrzymuje często zamówionych towarów. Mimo wszystko, większość zawartych transakcji jest realizowana. Niedotrzymanie umowy po ciąży za sobą kary konwencjonalne. Nie jest to sytuacja wygodna. Przedsiębiorstwo na ogół woli wywiązać się umową. Poza tym chcę przypomnieć sprawę podnoszoną w publikacjach prasowych.

Targi dają możliwość spotkań handlu z przemysłem nie tylko w warunkach kameralnych, kiedy to z natury rzeczy silniejszy (gdy góruje rynek producenta) dyktuje warunki, ale niejako na scenie, w obecności wielu osobowości oficjalnych. Umowy zawierane pod naciskiem takich okoliczności są mimo wszystko bardziej zwrócone w stronę handlu, a więc i konsumenta. Targi to zatem do pokazania nowinek, do załatwienia nowego wyrobu, nowym modelem, to okazja do przedstawienia przemysłowi rzeczy poszukiwanych”.

SAMOBRONA SPOŁECZNA!

Wiesław Wernic na łamach „Tygodnika Demokratycznego” zabiera głos w dyskusji nad sposobami i metodami przeciwdziałania chuligańskim rozróbkom i bandyckim napadom, o których ostatnio tak głośno w kraju. Publicysta jest zdania, że każda indywidualna akcja jest skazana na niepowodzenie, gdyż często grozi przykrymi konsekwencjami osobie, czynnie interweniującej w obronie porządku publicznego. Dlatego autor postuluje organizowanie na szerszą skalę grup ORMÓwców stale i ściśle związanych z życiem własnej dzielnicy czy osiedla.

„Takie terytorialne grupy ORMÓ — czytamy — składające się z ludzi świetnie orientujących się w problemach społecznych najbliższego im terenu współpracowałyby z dzielnicowym funkcyj-

nariuszem MO. Potrafiłyby jednak przede wszystkim oddziaływać społecznie na swoim terenie, pomagając w przywróceniu porządku i w opanowaniu wybrków chuligańskich za każdym razem, gdy one rodzą się w tej dzielnicy”.

Oczywiście, tak pojęta zorganizowana akcja społeczna rozwinąć się może tylko przy szerokim poparciu społeczeństwa i organizacji społecznych.

ROZMOWA O TEATRZE

Redakcja „Kultury” relacjonuje dyskusję jaką zorganizowała z udziałem dyrektorów i reżyserów oraz krytyków teatralnych. W dyskusji przypomniano wiele zasadniczych dla teatru prawd.

„Teatr żeby istniał musi pokazywać sprawy, które obchodzą społeczeństwo, publiczność, widownię. Inaczej — mówi AUGUST GRODZICKI — jeżeli się różni z tymi zainteresowaniami, z tym, czym żyje publiczność, społeczeństwo, zamienia się w dziedzinie teatru teatr akademicki, w dziedzinie twórczości społecznej w teatr bardzo elitarny, specjalistyczny, dla garstki smakoszy — w obu wypadkach teatr martwy”.

WSPOMNIENIA Z LAT SZKOLNYCH...

„Tatusi młóli, że za jego czasów nie było w szkole takich atrakcyjnych pomocy naukowych jak dziś. Nie było ra-

dia, filmów, magnetofonów ani nawet telewizorów. (...) U nas zupełnie co innego! U nas w każdej klasie wisiał radio-wo głośnik przybity hakami do ściany. To nie, że on w ogóle nie gra, ale za to my na nim stawiamy nasz klasowy asparagus w ramach podnoszenia estetyki życia. Jeżeli się rozchodzi o telewizor, to nasz Ciępluszek mówi, że spokojna głowa. On raz widział naszego szkolnego „Belwedera” przez dziurkę od klucza. Stoi sobie całkiem niebezpiecznie w kancelarii. No, to jak tak samo mogą zaświadczyć, że nasz dwukolorowy projektor filmowy za 12 tysięcy złotych też stoi zupełnie bezpiecznie. Nikt go tam nie rusza. Tacy są wszyscy zdyscyplinowani”.

Tak pisze Piotruś do redaktora „Głosu Nauczycielskiego”, dzieląc się wspomnieniami swego ojca i doświadczeniami swojej praktyki szkolnej. Ironizując także na temat metod i programów nauczania, Piotruś niewiele przesadził. Zapytajcie zresztą o to swoje dzieci...

DONKISZOTERIA LANDSZAFTÓW

Wież poszukuje współczesności. Kupuje telewizory, motocykle, pralki i chce mieszkać w estetycznie urządzonej mieszkaniach. Ale szukając nowego, niejednokrotnie błądzi. Jak pomóc wsi wyzbywać się landszaftów i

przysłowiowych jeleni? Na ten temat inicjuje dyskusję Jacek Małecki w „Tygodniku Kulturalnym”. Autor proponuje, by przy pomocy domów kultury i plastyków zająć się organizowaniem w świetlicach wiejskich wędrownych wystaw, przedstawiających możliwości właściwego malowania ścian, zdobienia ich współczesną ceramiką, ceramiką ludzką czy też obrazami o wysokich wartościach artystycznych.

PROSCENIUM 2

Po raz drugi w tym sezonie teatralnym ukazało się wydawnictwo Teatru Polskiego w Poznaniu Proscenium. Si. W. Balicki z okazji najnowszej premiery pisze o autorze „Kordiana i chama”. Z. Swętykowski publikuje artykuł „Fiedro — wróg miasta”, M. Dźwiniel — „Teatr Tragiczny Ostapa Orłwana”, Z. Osiński — „Lekcja biomechaniki u Osińskiego”, D. Dunin-Wsiewoloda Meyerholda”, D. Dunin-Adolfa Nowaczyńskiego”, a M. Kwiatkowski — „Poznańskie intermedium Edmunda Wiercińskiego”.

LEKTOR